



GRAHAM
MASTERTON
IMPERIUM

Gdy tego burzowego popołudnia Henry wrócił do domu, stanął w holu, by otrząsnąć parasol, i zawołał: „Indie, kochanie! Dali mi Indie!”, pierwszą myślą Lucy nie były pałace ani słonie czy książęta z brylantami na czołach. Jakby otworzyły się w jej głowie z nagłym klekotem, przypomniała sobie czernione pudełka z cynowej blachy stojące na półkach w głębi sklepu Darlingów i zamknięte w nich tajemnicze, suche jak pył ostre zapachy, które tak bardzo lubiła wdychać, i pomyślała, jak niezwykle musi być kraj, w którym jada się potrawy pachnące skórą do butów, prochem strzelniczym, suszonymi kwiatami i ogniem.

Widziała już oczywiście — za każdym razem, gdy do Oak City zjeżdżał cyrk — żywe słonie, a w żurnalach zdjęcia zaklinaczy węży, indyjskich bazarów i Tadź Mahal, ale to właśnie otwieranie wieczek pudełek i wachanie przypraw sprawiło, iż rozumiała, że mimo swojej odległości i odmienności Indie nie są literacką opowieścią, lecz faktem.

A teraz Henry wrócił do domu z plackami deszczu na ramionach i radośnie oznajmił, że ten daleki i obcy kraj będzie należał do nich.

— Kozieradka i kminek — powiedziała, wyciągając do niego ramiona. — Chili, kurkuma i garam masala...

— Słucham? — zapytał ze śmiechem.

Pocałowała go. Miał mokre baki.

— Indie! — zawołała. — Indie!



Kiedy leżała w nocy obok śpiącego męża w wielkim łożu z mosiężnymi kolumnami, uświadomiła sobie, że los znacznie wcześniej wprowadził do jej życia Indie. Przyniósł je ze sobą niemal pięć lat wcześniej, w odległości tysięcy mil od miejsca, w którym się teraz znajdowała — w Kansas, na początku czerwca, kiedy w Oak City znowu pojawił się wuj Casper.

Nieczęsto pozwalała sobie myśleć o tym, co wydarzyło się tamtego lata. Ciągle jeszcze robiło jej się wtedy sucho w ustach i zaczynała dygotać. Wpatrywała się w ciemności w sufit i zastanawiała, czy Bóg podarował jej Indie jako spóźnioną pociechę za to, co się stało, czy też to, co się stało, było ceną spełnienia marzenia, o które tak naprawdę nigdy nie prosiła.

1

Gdy usłyszała gwizd pociągu, balansowała niczym linoskoczek na otaczającym tylne podwórze pani Sweeney płocie, ale nie wiedząc, że jedzie nim wuj Casper, nie zwróciła na niego specjalnej uwagi.

Spacer po sztachetach wymagał pełnej koncentracji — należało rozłożyć szeroko ramiona, trzymać wysoko parasol, stawiać stopy jedną za drugą, opanować lekkie bujanie się ciała i robić krok po kroku, wysoko unosząc nogi. Wyglądała jak mechaniczna marionetka. Słońce przeświecało przez jej długą spódnicę w biało-niebieskie pasy i bawełniany czepek.

— Zatrzymaj się i wyprostuj! — zawołała pani Sweeney, która przez cały czas ją obserwowała, jakby mogła jej pomóc zachować równowagę siłą woli. — I nie patrz na stopy!

Pociąg ponownie zagwizdał. Lucy zrobiła kolejne dwa kroki, zatrzymała się, znowu zrobiła trzy kroki, stanęła, po czym chwiejnie doszła do rynny i złapała się jej obiema rękami.

— Nie było tak źle — stwierdziła pani Sweeney. — Nie wiem, co pomyśleliby o tym Forepaugh i Sells, ale jak dla mnie może być.

Pomogła swojej uczennicy zeskoczyć z płotu. Lucy wyciągnęła spódnicę z reform, wygładziła ją dłońmi i przykucnęła na pozbawionym oparcia krześle, aby włożyć buty.

— Myśli pani, że mogłybyśmy jeszcze potańczyć? — spytała, mrużąc oczy.

— Nic z tego. Już jestem wycieńczona, dziękuję bardzo —

odparła pani Sweeney. — Poza tym zaraz muszę iść do Leonarda Judda i zająć się jego korespondencją.

Zawsze kończyła lekcję tańca chodzeniem po płocie, twierdząc, że wzmacnia to stopy i poprawia zmysł równowagi. Przed ślubem chodziła po linie w cyrku Forepaugha i Sellsa, podróżując z nim po całym kraju. Złamała w tym czasie mnóstwo serc i mogła o tym opowiadać bez końca.

— Tylko jednego walca... — poprosiła Lucy. — Wie pani, że mogłabym tańczyć przez cały dzień!

Pani Sweeney odprowadziła ją do furtki.

— Jesteś jak mój Sean. „Mógłbym umrzeć, tańcząc”, mawiał. I tak się stało, niech Bóg ma go w swojej opiece. Pan wezwał go do siebie na balu hodowców bydła, w czasie polki!

Lucy zaciągnęła wstążki na swoim czepku.

— Założę się, że w dalszym ciągu tańczy gdzieś w niebie.

Pani Sweeney pociągnęła nosem.

— Całkiem możliwe... Ale na pewno nie polkę. Nie sędzę, aby nasz Pan i jego niebiańska świta tańczyli polkę. I na pewno nie z nim.

Lucy nigdy do końca nie wiedziała, kiedy pani Sweeney mówi poważnie, a kiedy żartuje. Zawsze ubierała się w żalobną czerń, a jej ściągnięta trójkątna twarz sprawiała wrażenie wiecznie zirytowanej, miała jednak zuchwałe irlandzkie poczucie humoru i dlatego — no i oczywiście dlatego, że udzielała lekcji tańca — większość ludzi w Oak City nazywała ją Podskakującą Kozicą. Prawdopodobnie miała czterdzieści parę lat, ale bez trudu mogłaby uchodzić za sześćdziesięciolatkę.

Lucy ją uwielbiała, ponieważ podczas lekcji, gdy raz za razem okrążały pokój na górze o skrzypiącej podłodze, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, jak para malutkich tancerzy wirujących na szczycie pozytywki, zawsze opowiadała o balach, na których bywała w młodości w Nowym Jorku, zanim upadła (przez duże „U”) i przyłączyła się do cyrku. „Och, te tańce, moja droga! Białe rękawiczki, strusie pióra, gazowe żyrandole i migocząca biżuteria! Lakierowane powozy i mężczyźni z tak wysokimi kołnierzykami, że przez cały wieczór musieli wpatrywać się w sufit!”

W Oak City w stanie Kansas niewiele tańczono — zresztą nie było ku temu wielu powodów. Miasteczko było skupiskiem

drewnianych domków zbudowanych na wygwizdowie przy trasie kolei Kansas Pacific, między Hays City i Fort Wallace. Od czasu do czasu któryś z miejscowych chłopaków skrzykiwał ludzi na potańcówkę w stodole, a raz w roku armia organizowała bal bożonarodzeniowy, na którym dziewczyny mogły zatańczyć z oficerami, choć była to jedynie zbieranina krostowatych, śmierdzących rumem i potykających się o własne nogi napalonych kozłów.

Pomijając te nieliczne okazje, w Oak City tańczyły tylko trawy i kurz, a jedyną muzyką, jaką tu słyszano, było zawodzenie pianoli w barze na rogu oraz śpiewy w niedzielę rano w kościele. *O Wiekuista Skalo, trwaj przy mnie...* Było tu za to mnóstwo nieba i jeszcze więcej wiatru, a kiedy nie wiało — jak tego właśnie dnia — panowała cisza.

— Do zobaczenia w czwartek, pani Sweeney — powiedziała Lucy.

Zamknęła za sobą furtkę i podciągnęła spódnicę, aby nie brudząc jej, przejść alejką prowadzącą do głównej ulicy. Było gorąco i bardzo cicho, spokoju nie zakłócał klekot powozów. Powietrze wypełniał charakterystyczny zapach prerii: woń siana i kurzu, zmieszany z aromatami suszonych przypraw.

Lucy skierowała się do sklepu ojca. Obcasy jej butów z wysoką cholewką stukwały o chodnik z drewnianych bali. Skończyła właśnie siedemnaście lat, miała jeszcze maleńkie piersi i wąskie biodra, ale była wysoka jak strzeliste drzewo — podobnie jak matka. Jej włosy były tak jasne i delikatne, że matka zwykła mawiać, iż utkał je karzeł Titelitur. Miała dość długi, ale prosty nos, pokryty bladymi piegami u nasady, i oczy tak błękitne, że ludzie nie mogli uwierzyć, iż mogą istnieć tęczówki takiego koloru — miały barwę płatków chabrow.

Jedynym elementem twarzy, którego Lucy u siebie nie lubiła, były usta. Nawet jeśli nie była w ponurym nastroju i na nikogo się nie obraziła, często wyglądały, jakby była obrażona na cały świat.

Nuciła walca *Niemieckie serca* i szła, zataczając kółka. Raz-dwa-trzy! Raz-dwa-trzy! Kiedy doszła do sklepu ojca, ponownie usłyszała gwizd pociągu i zobaczyła rozkwitające na niebie kłęby czarnego dymu.

Drzwi większości znajdujących się przy Main Street budynków były szeroko otwarte z powodu upału i zupełnego braku wiatru. Wnętrza wszystkich lokali wypełniał cień, a każdy z nich miał charakterystyczny zapach. W budynku Rynku Mięsnego, gdzie rzeźnicy w melonikach i zbrązowiałych od krwi fartuchach rozbierali półtusze wołów opasowych, unosił się zapach surowego mięsa, biuro L. Judda, agenta nieruchomości i pożyczek, gdzie pani Sweeney pracowała popołudniami, przepelniała woń wody lawendowej i papieru, w drogerii Helmsleya królował zapach cukierków na kaszel i goździków, a w Produktach Suchych i Odzieży J.A. Overbaya pachniało materiałem dżinsowym i pastą do butów.

O fronton Rynku Mięsnego opierało się dwóch młodych rzeźników ze splecionymi na piersi ramionami. Jeden był czerwony jak burak, drugi bladej jak mleko. Palili krótkie cygara i mrużyli oczy przed jaskrawym słońcem. Lucy знаła zarówno Boba Wonderly'ego, jak i Williama Zanga. Chodzili razem do szkoły w Oak City.

— Tańczyłaś, ślicznotko? — zapytał Rumiany. — Co powiesz na jeszcze jeden mały taniec dla starego kumpla Boba?

Lucy uśmiechnęła się pod cienistym rondem kapelusza i pokręciła głową.

— Hej, Lucy! — nie odpuszczał chłopak. — Chodź do nas! Nie zachowuj się jak nadęta dama! Miałabyś ochotę na trochę wołowej wątroby?

Jego kolega parsknął śmiechem.

— A niech mnie! Wołowa wątroba! Widać, że romantyzm jeszcze nie zginął! Może lepiej zapytaj, czy nie chciałaby trochę flaków?

— Możesz sobie żartować, a ja się cieszę, że niektórzy mogą jeszcze kręcić nosem na wątrobę — odparł Bob Wonderly. — To pierwszej klasy wątroba, do diaska. Nie rośnie na drzewach.

Lucy przecięła ulicę i weszła na duży zapyłony plac przed stacją kolejową. Z cienia przy wejściu do dworcowego budynku wyszedł wysoki barczysty chłopak z błyszczącymi od brylantyny kasztanowymi włosami. W prawej ręce niósł obwiązaną sznurkiem ciężką paczkę w pakowym papierze, a lewą unosił dla utrzymania równowagi.

Lucy zatrzymała się i czekała na niego z uśmiechem, osłaniając oczy przed słońcem.

— Jamie! — zawołała.

Chłopak podszedł bliżej, postawił paczkę na ziemi i otarł rękawem czoło.

— Ned nie będzie na mnie czekał — powiedział. — Mówił, że spieszy się do fryzjera... na wypadek gdyby miał spotkać Dorothy Oosterman.

Lucy pocałowała czubki palców i dotknęła nimi jego nosa.

— Nie spodziewałam się, że zobaczę cię dzisiaj w mieście.

— No cóż... zamierzałem przyjechać dopiero jutro, ale ponieważ Ned się tu wybierał...

Podniósł paczkę i zaczęli powoli iść Main Street. Nie zalecali się do siebie, ale kiedy przed dwoma laty Cullenowie osiedlili się niedaleko Oak City, Lucy i Jamie natychmiast się zaprzyjaźnili i wszyscy oczekiwali, że któregoś dnia zostaną małżeństwem. Ludzie mówili o nich na jednym oddechu: „Jamie-i-Lucy”.

— Co to? — spytała Lucy, wskazując głową paczkę. — Chyba nie kolejne Biblie?

— Biblie? W życiu. Książki prawnicze.

— Twój ojciec nie będzie zadowolony.

— Nie obchodzi mnie jego opinia. Szacunek dla ojca to jedno, a zadowalanie go to zupełnie co innego... zwłaszcza że bardzo trudno go zadowolić.

Ojciec Jamiego, Jerrold Cullen, był bardzo religijny i wszystkich, którzy dla niego pracowali (a także tych, którzy dla niego nie pracowali), obdarowywał Biblią. Każde słowo w Biblii uważał za bezdyskusyjny fakt i nawet jeśli zaczęło się z nim rozmowę o chorobach bydła czy cenach żywności, wkrótce mówił o cierpieniach Hioba albo o Jonaszu w brzuchu wieloryba.

Był gorzko rozczarowany, że Jamie postanowił zostać prawnikiem zamiast farmerem, i często dawał wyraz swojemu niezadowoleniu z tego powodu. Uważał, że jego syn powinien przebywać na dobrym powietrzu Pana, orząc ziemię, stawiając płoty i znakując cielaki, zamiast tkwić w dusznych szkolnych salach, wpatrując się w strony ksiąg prawniczych. Według niego nauka z książek mieściła się nieco poniżej brania imienia Pana nadaremno i jedynie odrobinę powyżej požądania służącej sąsiada.

Prawdę mówiąc, Lucy też nie bardzo rozumiała zainteresowanie Jamiego prawem. Próbowała przeczytać kilka jego książek dotyczących precedensu sądowego i stwierdziła, że są okropnie nudne. Lubiła jednak Jamiego. Lubiła go z powodu spokojnego, pogodnego usposobienia oraz dlatego, że był wysoki. Sama miała (bez butów) pięć stóp i siedem cali wzrostu i była wyższa od większości niskich i krępych chłopaków z Oak City przynajmniej o cal. Ale Jamie miał sześć stóp i dwa cale i w swoich butach do konnej jazdy wznosił się nad tłumem, jakby pływał po jeziorze pełnym podrygujących kapeluszy. W jego obecności Lucy zawsze czuła się mała, delikatna i kobieca.

Był także przystojny — a przynajmniej ona tak uważała. Mocna szczęka, nos z sugestią wzgórka pośrodku i głęboko osadzone oczy, bardzo jasne i jednocześnie szare jak burzowe chmury — wszystko to sprawiało, że wyglądał, jakby nie potrafił się zdecydować, czy powinien uderzyć swojego rozmówcę, czy się roześmiać.

Lubiła go bardzo, niemal kochała, jednak w dalszym ciągu w skrytości ducha marzyła o tym, żeby wyjść za księcia, lorda albo milionera.

— To *Prawo deliktów* Hudsona w siedmiu tomach — wyjaśnił Jamie. — Musiałem je specjalnie zamówić w Monkey Ward.

Z szacunku dla ojca i jego zastrzeżeń wobec wielkich chicagowskich wysyłkowych domów towarowych nazwał Montgomery Ward „Małym Oddziałem”. Montgomery Ward i Sears Roebuck doprowadziły wiele małych sklepików na skraj bankructwa — w tym także sklep ojca Lucy.

Wóz konny do prac rolnych za 50 dolarów, przysłany kolejną. Siedemdziesiąt dwa tuziny guzików do koszul za 35 centów... Jaki małomiasteczkowy sklepikarz mógł z tym konkurować? Do tego wszystkiego katalogi wysyłkowych domów towarowych — po wielokrotnym przeczytaniu i zamówieniu tego, co było naprawdę potrzebne — dostarczały całemu zachodniemu pograniczu papieru toaletowego.

— Delikty? — powtórzyła Lucy. — Co to są delikty? Coś delikatnego do jedzenia?

Jamie prychnął drwiąco i pokręcił głową.

— Jesteś chyba mniej rozgarnięta od każdej dziewczyny, jaką

kiedykolwiek spotkałem!

— Zamierzam być damą z towarzystwa — oświadczyła Lucy, unosząc nos. — Dama z towarzystwa nie musi wiedzieć, co to są delikty. „Pani Vanderbilt, proszę poczęstować się deliktem”.

— Próbujesz zrobić ze mnie głupka?

— Och, proszę, nie dąsaj się! Powiedz mi, co to są delikty! Proszę!

Jamie oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że Lucy się z niego podśmiewa, ale odchrząknął i zrobił poważną minę.

— Delikt to zranienie kogoś lub spowodowanie szkody. Albo przez coś, co się zrobiło, albo przez coś, co powinno się było zrobić, ale się tego zaniechało.

— To jasne jak mętna woda — stwierdziła Lucy.

— No... założmy, że twój ojciec zdjął pokrywę ze stojącego w piwnicy pojemnika z prochem strzelniczym, a potem ktoś z zapaloną świecą poszedł tam, by poszukać gwoździ.

— Tak?

— Chłopak zostaje rozerwany na kawałeczki, ponieważ twój ojciec zapomniał zamknąć pojemnik!

— I to jest delikt? Kiedy jakiś chłopak zostaje rozerwany na kawałeczki?

Jamie kiwnął głową.

— No cóż... tak. Delikty to właśnie tego typu rzeczy. Rozerwani na kawałeczki chłopcy, zdeptane zbiory, źle zamocowane drabiny i tym podobne. Pan Collamer uważa, że delikty mają przyszłość.

Lucy złapała go za rękaw.

— Dla mnie to wszystko brzmi okropnie nudno. Sądziłam, że zamierzasz zostać adwokatem kryminalnym i będziesz bronić morderców i rabusiów.

— Powiedzieć ci coś?

— Co?

— Potrafiłabyś wypłoszyć pchły z muła!

Po chwili doszli do sklepu Jacka Darlinga. Był to piętrowy dom ze sklepem na parterze i mieszkaniem na piętrze, pomalowany na burożółty kolor, przypominający sierść bezpiecznych psów. Był to ostatni budynek przy głównej ulicy miasteczka, tu kończyło się Oak City i zaczynała reszta Kansas.

Z jednej strony ulica, z drugiej rozciągające się aż po horyzont High Plains. Lucy czasami miała wrażenie, że żyje na krawędzi świata.

W Kansas nie ma gór, jedynie same równiny. Mieszkający tam ludzie nazywają je krainą, w której „patrzy się dalej, ale widzi mniej”, jednak kiedy niebo robiło się czarne jak wnętrze lufy karabinu, a białozółta trawa na prerii falowała jak łagodne, ciche morze, Lucy wydawało się, że zbiera się jej na mdłości.

W Kansas trudno było zapomnieć, że człowiek łączy się ze światem tylko przez podeszwy stóp.

Jack Darling — kościsty siwy mężczyzna — stał na werandzie w długim fartuchu sprzedawcy. Spękany od wiatru i deszczu szyld nad jego głową oznajmiał, że ma na składzie Produkty dla Farm, Znakomite Produkty Spożywcze oraz Towary Rodzinne, Ubrania Garniturowe i Kapelusze Stetsona we wszystkich Najmodniejszych Fasonach.

Nie mówił jednak, że właściciel sklepu jest wdowcem, a czasy są bardzo ciężkie.

— Tato! — zawołała Lucy.

Jack Darling kiwnął głową na znak, że ją zauważył.

— Wypijesz szklankę napoju z kolcorośli? — spytała Lucy Jamiego.

— Chętnie, ale nie mogę zbyt długo zostać. Ned kazał mi być o dwunastej na farmie. Muszę mu po południu pomóc przy stadzie... przy obcinaniu rogów albo czymś w tym rodzaju.

Gdy weszli po schodkach na werandę, odstawił paczkę i uniósł kapelusz. Jack Darling uśmiechnął się do niego.

— Co słysząc, Jamie? Tata bardzo cię goni do pracy? — zapytał, po czym zwrócił się do Lucy: — Mam dla ciebie niespodziankę, skarbie. Przyjechała pociągami o jedenastej.

— Nie powiesz mi chyba, że przysłali okulary, które zamówiłeś?

Jack Darling pokręcił głową.

— Ta niespodzianka to nie „coś”, ale „ktoś”.

— Szkoda. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w okularach — odparła Lucy. Objęła ojca i cmoknęła go w policzek. — Mam nadzieję, że i ty nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie mnie zobaczysz...

Jack Darling wymierzył jej pieszczotliwego klapsa.

— Któregoś dnia twoje kpiny doprowadzą mnie do zawału. Ma to po matce — wyjaśnił Jamie, gdy wchodzili do środka.

— Nigdy nie potrafiła być poważna.

— Wiem, proszę pana — odparł Jamie.

Lucy powiedziała mu, że po stracie żony jej ojciec omal nie umarł z rozpacz. Nie jadł i nie spał, i nawet teraz, po tylu latach, często jęczał po nocach w poduszkę.

Miał ziemistą cerę, opadające siwe wąsy i garbił się lekko, ale wciąż doskonale się trzymał. Większość ludzi uważała, że Lucy ma po nim zarówno oczy, jak i wyrazisty, zdecydowany profil. Mieli jednak zupełnie inne usta, ale wystarczyło spojrzeć na stojącą w salonie fotografię, aby zobaczyć, po kim jego córka je odziedziczyła — miała takie same kuszące, nadąsane, uparte usta jak jej matka.

— Kolcorośl czy lemoniada? — spytała Lucy Jamiego.

— Wszystko jedno. Może być tonik z pieprzu japońskiego, jeśli masz.

— Blee! Jak możesz pić coś takiego?

— Podobno pieprz japoński bardzo korzystnie wpływa na małżeńskie pożycie — zauważył Jack Darling.

Był religijnym człowiekiem i regularnie chodził do kościoła, ale nie był pruderyjny.

— Jamie nie jest żonaty — powiedziała Lucy.

— Jeszcze nie — odparł chłopak. — Ale kiedy zdobędę dyplom i założę kancelarię, wtedy... no cóż, chyba wtedy znajdzie się jedna albo i druga dziewczyna w mieście, która powinna uważać.

— Pewnie już teraz jedna albo i druga dziewczyna w mieście powinna uważać — mruknęła Lucy, gdy jej ojciec dolewał wody sodowej do gorzkiego napoju z pieprzu japońskiego.

— A ty, skarbie? — spytał Jack Darling. — Kolcorośl?

Pokręciła głową.

— Gdzie ta niespodzianka? — zapytała, rozglądając się wokół.

Sklep wyglądał jak zwykle — opuszczone zielone żaluzje sprawiały, że było w nim chłodno i panował półmrok. Z krokwi zwisały szynki, a półki były pełne towarów, od masła jabłkowego po długie ciepłe majtki dla pań.

Wokół pieca (o tej porze roku zimnego, lecz mimo to przez cały czas stanowiącego ośrodek życia społecznego Oak City) siedzieli ci sami co zwykle miejscowi wałkonie, grając w pokera i popijając whisky, którą Jack Darling częstował ich za darmo. Henry McGuffey, weteran z długą brodą, którego w drodze do złotonośnych pól Kalifornii „z powodu braku funduszy i entuzjazmu” wyrzuciło na High Plains. Samuel Blankenship, inżynier pracujący kiedyś na kolei Leavenwortha, Lawrence’a i Galvestona (znanej w Kansas jako „Leniwa, Lipna i Gałgańska), który podczas przetaczania pociągu niechcący zabił swojego najlepszego przyjaciela i stracił serce do prowadzenia lokomotywy. Osage Pete — pół Indianin, pół Norweg, który mówił pięcioma językami, ale każdym bardzo źle.

Jack Darling uśmiechnął się do córki.

— Cass! — zawołał.

Otworzyły się drzwi prowadzące do magazynu i pojawił się w nich krepły mężczyzna z czarną brodą, ubrany w obcisły beżowy garnitur. Miał dużą, przypominającą lwi łeb głowę, szeroką, wysklepioną jak beczka pierś i nieproporcjonalnie krótkie nogi. Słońce spiekło mu twarz, więc z początku Lucy go nie poznała. Z chytrym uśmieszkiem na ustach zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się i wyciągnął do niej ramiona.

— Wujek Casper? — zapytała Lucy i odwróciła się do ojca.
— To wuj Casper!

— Pewnie, że ja! — zawołał przybysz, po czym klasnął w dłonie, złapał Lucy, uniósł ją i obrócił się razem z nią. — Hejjjooo-hooo!

Objęła go i ucałowała. Miał mokrą brodę, a jego dłonie pachniały kremowym mydłem migdałowym Peet’s.

Popatrzyła na ojca.

— Czemu mi nie powiedziałeś, że wuj ma do nas przyjechać?
— zapytała.

— Twój tata uważa, że nie można na mnie polegać — wyjaśnił Casper. — Sądził, że się nie pokażę, i nie chciał, abyś niepotrzebnie robiła sobie nadzieję.

— Nigdy nas nie zawiodłeś! — zawołała Lucy. — Nigdy nie zapomniełeś o moich urodzinach, prawda? I nigdy nie zapomniełeś przysłać pieniędzy na kwiaty w rocznicę śmierci mamy.

— Czy mógłbym zapomnieć o swojej drogiej siostrze i jej małej dziewczynce? — powiedział wuj Casper, po czym zapytał: — Co sądzisz o mojej brodzie?

W ciągu ostatnich pięciu lat widzieli go jedynie dwa razy. Pierwszy raz owego mroźnego lutowego dnia, kiedy chowano matkę Lucy, i drugi dwa lata później, gdy zjawił się późno w nocy, by poprosić szwagra o pieniądze. Jack Darling dał mu wtedy sto dolarów przez wzgląd na swoją zmarłą żonę.

Casper spłacił większość długu, jednak mina Jacka świadczyła o tym, że mu nie ufa. Jamie od razu to zauważył — choć Lucy najwyraźniej nic nie dostrzegала. Ale podczas ostatnich kilku lat drzwi Sklepu Ogólnego Jacka Darlinga przekroczyło tyle złych wiadomości, że chłopak natychmiast je rozpoznawał — bez względu na to, jaką postać przybierały.

— Jak długo zostaniesz? — spytała Lucy Caspera. — Jamie, poznaj mojego ulubionego wujka!

— Ulubionego i jedyne — dodał Casper, poufale obejmując Lucy ramieniem, jakby była jego własnością. Zignorował wyciągniętą dłoń towarzysza siostrzenicy i zwrócił się do Jacka: — Co powiesz na kieliszek sklepowego trunku dla przepłukania ust? Oczywiście dla mojego nowego przyjaciela też — dodał, patrząc na Jamiego.

— Dziękuję, ale muszę już iść — odparł chłopak. — Ojciec spodziewa się mojego powrotu przed lunchem.

— Daj spokój, wystarczy ci czasu na kielicha — powiedział wuj Casper, szczerząc zęby. — Kiedy pierwszy raz posmakowałem whisky, mój ojciec także spodziewał się mojego powrotu przed lunchem. Było to trzydzieści pięć lat temu i jeszcze nie wróciłem...

Jamie pokręcił głową.

— Przykro mi, ale nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia. Muszę zająć się lekturą materiałów prawniczych.

— Miłośnik książek prawniczych, co? Pozwól, że coś ci powiem, młodzieńcze: nikt nigdy nie wzbogacił się od studiowania czegokolwiek... oczywiście z wyjątkiem życia. — Jack Darling podał mu szklaneczkę whisky i wuj Casper wypił ją jednym haustem, po czym dodał: — Kobiety, walka o przetrwanie i sposoby zdobywania pieniędzy to wszystko, co warto studiować.

— I pan to robi? — spytał Jamie.

Lucy nie spodobało się brzmienie jego głosu. Był teraz gardłowy i pozbawiony wyrazu — jak zawsze, kiedy Jamie był zdenerwowany, zazdrosny albo zły.

Wuj Casper kiwnął głową i znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kobiety, walka o przetrwanie i sposoby zdobywania pieniędzy — powtórzył.

— I tak właśnie można stać się bogatym?

Wuj Casper ponownie kiwnął głową.

— W takim razie musi pan być bogatszy od większości ludzi — stwierdził Jamie.

Oczy wuja Caspera się zwężyły.

— Nie musisz mędrkować, Złoty Jimie.

— Jest pan milionerem? — spytał chłopak. — Multimilionerem? Miliarderem?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Są bogaci i bogaci — powiedział w końcu wuj Casper. — Może teraz nie jestem bogaty w sensie posiadania pieniędzy, ale...

— A istnieje jakiś inny rodzaj bogactwa? — spytał Jamie. — Zawsze sądziłem, że bogactwo to posiadanie pieniędzy.

— Jestem bogaty w pomysły, plany, aktywa — odparł wuj Casper. — Jeśli moje plany zostaną zrealizowane, będę miał także pieniądze.

Nie patrząc na Jacka Darlinga, wyciągnął w jego stronę pustą szklaneczkę i Jack ją napełnił. Był sklepikarzem, a wszyscy sklepikarze zawsze mieli pod ręką butelkę lub dwie dla ułatwienia kontaktów z klientami.

— Ropa — powiedział wuj Casper. — Oto, czego szukam. Pojadę stąd prosto do Kalifornii i wywiercę sobie fortunę w ziemi.

— Zaklepał pan już dzierżawę terenu? — spytał Jamie. — Załatwił pan prawa do wydobywania?

— Wszystko jest w trakcie załatwiania.

— W takim razie mogę tylko życzyć panu szczęścia — stwierdził Jamie.

Kiedy zamierzał odejść, Casper złapał go za rękaw.

— Nie odwracaj się do mnie plecami, Złoty Jimie. Gdy wrócę z Kalifornii, okaże się, że odwróciłeś się plecami do bardzo zamożnego człowieka.

Jamie delikatnie, ale zdecydowanie oderwał jego palce od swojego rękawa.

— Przecież życzyłem panu szczęścia — powiedział.

Casper zaśmiał się głośno i wlał sobie do gardła drugą szklaneczkę whisky.

— Oczywiście, że życzyłeś... — wycodził.

Był zbyt osłabiony przez alkohol i złe odżywianie się, aby mierzyć się z takim krzepkim młodzieńcem jak Jamie. Drżącą ręką wyciągnął szklaneczkę do ponownego napełnienia. Jack zawahał się, ale w końcu ją napełnił.

— Wobec tego może napiszesz się ze mną, aby udowodnić, że naprawdę myślisz to, co mówisz — zaproponował wuj Casper.

— Zawsze myślę to, co mówię. Nie muszę udowadniać tego piciem... ani z panem, ani z nikim innym. Poza tym nie chcę wracać do domu, załatując whisky. Mój ojciec jest abstynentem, nie toleruje oddechu szatana.

Wuj Casper ścisnął ramię Lucy i uśmiechnął się.

— Oddechu szatana? Masz bardzo prawego przyjaciela, moja droga!

Lucy nie wyczuła sarkazmu w tych słowach, ale chłopak zmarszczył brwi. Nie podobał mu się też sposób, w jaki Casper obejmował siostrzenicę i całował jej włosy — zachowywał się, jakby do niego należała. Lucy nie miała nic przeciwko temu, nie widziała w tym nic złego. Dla niej wuj Casper był po prostu wujem Casperem.

— Mogę pić ze wszystkimi, ale we właściwym czasie — oświadczył Jamie i po chwili wahania dodał: — W odróżnieniu od niektórych dość dobrze znoszę alkohol.

— Zaraz, zaraz! Próbujesz mi powiedzieć, że ja go źle znoszę?

Jamie nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Nie, proszę pana. Nic panu nie próbuję powiedzieć. Po prostu odchodzę. Do widzenia, Lucy. Do widzenia, panie Darling.

— Hola! — zawołał wuj Casper. Zabrał Jackowi butelkę i uniósł ją nad głowę. — W takim razie, skoro z ciebie taki bogobojny młodzieniec, załóżę się o pięć dolarów, że nie wypijesz pięciu szklaneczek whisky bez łapania powietrza, mówiąc na koniec *Ojciec nasz* od tyłu.

— Casper, to niemądre — wtrącił Jack Darling. — Oddaj mi

butelkę.

Jamie się odwrócił.

— Nie zakładam się o nic, proszę pana, a już na pewno nie o modlitwę i picie alkoholu. Muszę o dwunastej spotkać się z bratem pod salonem fryzjerskim i jeśli każe mu czekać, poczuje się bardzo urażony.

Casper popatrzył na zegarek.

— Daj spokój, przyjacielu, masz jeszcze mnóstwo czasu! Nic dziwnego, że studiujesz prawo! Jesteś jak każdy prawnik: para w gwizdek! Lucy, powinnaś wystrzegać się takich ludzi! Mocna gęba, ale reszta drętwa!

Jamie spojrział na Lucy.

— Drętwiak! Drętwiak! Drętwiak! — powtarzał wuj Casper i bujał butelką whisky.

— Panie Darling — powiedział cicho Jamie — mógłby mi pan dać szklaneczkę?

— O nie... — jęknęła Lucy. — Wuj tylko żartował! Prawda, wujku?

— Oczywiście — odparł wuj Casper. — Żartowałem, to wszystko. Ale wy, mieszkańcy High Plains, nie rozpoznacie żartu nawet wtedy, gdy się o niego potkniecie.

Jamie bez słowa obszedł piec i wziął z półki szklaneczkę. Wrócił, wyjął z rąk Caspera butelkę i otworzył ją.

— Jamie! — krzyknęła Lucy. — Jeśli wypijesz choćby kroplę tej whisky, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę! Nigdy!

Chłopak popatrzył na wuja Caspera, a potem na nią.

— Zakład to zakład — oświadczył. — Myślisz, że pozwolę, aby twój wuj uważał mnie za tchórza?

— Daj spokój — powiedział Jack Darling. — Casper to żartowniś.

Jamie wziął głęboki wdech i napełnił szklaneczkę po brzegi. Opróżnił ją jednym haustem, po czym ponownie nalał do niej whisky i wypił.

— Przestań! — zawołała Lucy. — Przecież to był tylko żart!

Chłopak znowu napełnił szklaneczkę i wychylił ją. Po policzkach ściekały mu łzy.

Wuj Casper objął Lucy ramieniem.

— Zuch chłopak — powiedział. — Większość ludzi już by

złapała powietrze.

Jamie wlał do szklaneczki kolejną porcję alkoholu i drżącymi dłońmi uniósł ją do ust. Strużka whisky spłynęła mu po brodzie i kapnęła na koszulę. Jack Darling pokręcił głową i odwrócił wzrok, a stary Henry McGuffey zarechotał chrapliwie.

— Pokaż im, synu! — zawołał. — Pokaż im!

Purpurowy na twarzy Jamie po raz ostatni napełnił szklaneczkę. Przez chwilę walczył, aby nie wypuścić powietrza ani nie zakasłać, po czym odchylił głowę do tyłu i wypił whisky.

Wytarł usta grzbietem dłoni, odstawił pustą szklaneczkę i wypuścił powietrze.

— Niech tylko teraz nikt nie zapala zapalki — zachichotał Samuel Blankenship. — Przez jakiś czas chłopak będzie miał łatwopalny oddech!

Lucy zaklaskała w dłonie.

— A teraz *Ojcie nasz* na wspaniałość! — zawołała ze śmiechem. — No, Jamie, poradzisz sobie!

Jamie kilka razy przełknął ślinę, po czym zaczął recytować modlitwę:

— „Amen złego ode zbaw nas ale pokuszenie na nas wódz nie i...”.

Kiedy skończył, Lucy wyrwała się wujowi i zaczęła tańczyć z Jamiem po sklepie.

— Juhuuu! Udało ci się! Zrobiłeś to!

Wuj Casper patrzył na nich i dłużył paznokciem w zębach.

Jamie podszedł do niego i wyciągnął rękę.

— Jest mi pan winien pięć dolarów.

Casper uśmiechnął się krzywo.

— Przecież to był żart. Nie żaden zakład, ale zwykły żart.

Jamie wziął głęboki wdech.

— To nie był żart i pan doskonale o tym wie — oświadczył.

— To był prawnie wiążący zakład, oczywisty i legalny, i wygrałem go w sposób oczywisty i prawnie wiążący.

Casper rozejrzał się po sklepie, uśmiechając się do wszystkich stałych bywalców — do Henry’ego, Samuela i Osage Pete’a.

— A nie mówiłem? Żadnego poczucia humoru na zachód od Leavenworth...

— Wujku, oszukujesz — stwierdziła Lucy. — Przecież Jamie

wypił whisky i odmówił modlitwę na wspak.

Casper popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

— Nie mój problem, jeśli twój chłopak za bardzo lubi butelkę — powiedział, ale kiedy Lucy skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego ostro, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej wymięty pięciodolarowy banknot. Z wyraźnym bólem wygładził go i podał Jamieemu. — Masz, bo widzę, że nie umiesz docenić dowcipu i potrzebujesz pomocy swojej przyjaciółki. Oto twoje pieniądze.

Chłopak opuścił ręce.

— Zapomnijmy o tym — powiedział. — Wcale nie zamierzałem się z panem zakładać.

— Daj spokój — mruknął wuj Casper, machając banknotem. — Weź, zarobiłeś.

— Zapomnijmy o tym, rozumie pan? — powtórzył Jamie i ujął Lucy za ramię. — Zobaczymy się w niedzielę? Pomyślałem, że moglibyśmy pojeździć konno wzdłuż rzeki. Moglibyśmy wziąć te nowe gniadosze od Walkera. Są naprawdę wyjątkowe.

Lucy kiwnęła głową.

— Zgoda. O drugiej? O trzeciej?

— Druga będzie w sam raz.

— Weź pieniądze — nalegał Casper. — No już. Wygrałeś je.

— Nie — odparł Jamie, patrząc na Lucy. — Jeśli tak bardzo pana boli ich oddawanie, to niech ich pan nie oddaje. Ale mógłby pan zapłacić panu Darlingowi za whisky, którą wypiłem.

Lekko się kiwał i musiał zrobić krok w bok, aby utrzymać równowagę. Najwyraźniej zaczynał odczuwać działanie alkoholu.

— Hm... Jak uważasz — mruknął wuj Casper i włożył pieniądze do kieszeni.

Lucy ujęła Jamieego pod ramię i wyszła z nim na werandę.

— Przepraszam cię — powiedziała. — Wuj Casper czasami bywa nieco ostry, ale nie ma na myśli nic złego.

— Mimo to bądź ostrożna. Człowiek, który tyle pije...

— Och! A ty? Pięć whisky z rzędu, i to bez oddechu! — zawołała Lucy, po czym wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. — Chyba cię lubię, Jamie Cullenie.

— Sądzę, że ja też cię lubię, panno Lucy Darling.

Wziął paczkę z książkami, uchylił kapelusza i ruszył w stronę

zakładu fryzjerskiego. Jego brat Ned — ubrany na czarno, w opuszczonym na oczy czarnym kapeluszu — czekał na niego w amerykańce. Jamie odwrócił się, aby pomachać Lucy na pożegnanie, ale stracił równowagę i runął na plecy, wysoko wyrzucając nogi.

— Jamie! — krzyknęła Lucy i pobiegła do niego.

Usiadł z trudem. Miał białe od pyłu ramiona i szkliste oczy.

— To przez te książki... — wymamrotał. — Przesunąłem ciężar ciała na prawo, a te przeklęte książki obróciły się wokół i wyróciły mnie!

Lucy omal nie popłakała się ze śmiechu.

— Jesteś pijany! Jesteś kompletnie pijany! Ned cię zabije! I co powie twój ojciec?!

— Nic mi nie jest — odparł Jamie i również zaczął się śmiać.

— Ale powiedz swojemu wujowi... — Urwał i po chwili dodał:

— Uważaj na niego. Widywałem już takich ludzi.

— Jakich?

— Szulerów, wyrzutków...

— On nie jest wyrzutkiem. To mój wuj!

Jamie wstał i pozbierał książki.

— Tym bardziej musisz na niego uważać.

Lucy patrzyła, jak chwiejnym krokiem idzie w stronę powozu brata, a potem przez poranną ciszę przebił się gniewny głos: „Gdzie ty byłeś? Piłeś? Śmierdzisz jak gorzelnia!”.

W końcu Ned strzelił batem, zawrócił szerokim kołem i ruszył ku rzece Saline.

— Jamie! — zawołała Lucy.

Obejrzał się i pomachał do niej.

— Do niedzieli! O drugiej! I uważaj na siebie!



Przy kolacji, na którą Lucy przygotowała zapiekankę z mieloną wołowiną, wuj Casper opowiadał, co porabiał od swojej ostatniej wizyty u nich. Siedzieli w małej, zagraconej jadalni na piętrze, z nijakimi meblami i kraciastymi biało-czerwonymi zasłonami w oknach. Widok za oknem był zachwycający: niekończący się, falujący ocean traw i wieczorne niebo tak czyste i rozległe, że mogło się zakreślić w głowie.

Wuj Casper trzymał przy swoim talerzu butelkę whisky i podczas posiłku wypił niemal trzy czwarte jej zawartości. Lucy uwielbiała wuja. Im więcej pił, tym zabawniejszy się robił — i oboje pękali ze śmiechu. Ojciec również się śmiał, jednak nie tak spontanicznie i czasem Lucy widziała, że się krzywi albo patrzy przez okno.

— Zrobiłem majątek i straciłem go — oświadczył wuj Casper, kiedy skończyli posiłek i zaczął skręcać sobie papierosa. — Tym razem jednak zamierzam zbić fortunę tak wielką, że nie da się jej stracić. Zamierzam nosić jedwabne koszule i aksamitne kołnierzyki, a piękne kobiety będą mi ogrzewać kalessony.

— Daj spokój, Casper — mitygował go Jack Darling. — Zostaw sobie tę gadkę na później.

— Lucy nie ma nic przeciwko temu, prawda? — Casper wyszczerzył zęby, oparł dłoń na ramieniu dziewczyny i chuchnął na nią whisky. — Lucy i ja jesteśmy przyjaciółmi i zawsze nimi będziemy. Anna była taka sama. Moja biedna, kochana siostrzyczko, spoczywaj w pokoju. Jej córka wygląda dokładnie tak jak ona. I unosi się wokół niej ta sama aura. Nie możesz temu zaprzeczyć, Jack. To nowe wcielenie Anny!

Jack Darling nic na to nie odpowiedział. Sprzątnął talerze i poszedł do kuchni po ser i ciasto z jabłkami.

Wuj Casper pochylił się do Lucy.

— Chcesz wiedzieć, co mi powiedział kiedyś pewien nauczyciel w pociągu z Leavenworth? Że dobre wykształcenie to umiejętność opisanego wyglądu kobiety bez użycia rąk.

— Och, wujku... — zaprotestowała Lucy, choć nie zrozumiała dowcipu.

Wuj Casper roześmiał się, odchylił na krześle i wlał w siebie kolejną porcję whisky. Miał zaczerwienioną twarz i coraz bardziej rozmywała mu się mowa.

— Wyrosłaś na bardzo piękną dziewczynę, wiesz o tym? Naprawdę piękną! Nie rozumiem, dlaczego tu zostajesz, w tym... — Odwrócił się do okna i popatrzył na falujący ocean traw. — To nawet nie jest żadne... miejsce.

— To mój dom — oświadczyła Lucy.

— I zamierzasz tu siedzieć przez całe życie?

— Oczywiście, że nie. Zamierzam zostać damą z towarzystwa.

Wuj Casper zaciągnął się papierosem i wypuścił dym nosem.

— Dama z towarzystwa, tak? W brylantach, perłach i strusich piórach? Widziałem takie kobiety w Waszyngtonie, Baltimore i Charlestonie.

Lucy spuściła wzrok. Nie miała nic przeciwko temu, by z niej żartowano, ale to marzenie było dla niej zbyt cenne. Nie wiedziała, jak bez niego potrafiłaby znosić długie rozpalone lata i lodowate zimy oraz widok naznaczonych przez surowe warunki życia twarzy kobiet i mężczyzn, którzy próbowali utrzymać się nie wiadomo z czego.

— Jeśli chce się być damą z towarzystwa, potrzebne są pieniądze — stwierdził wuj Casper. — I to dużo. A co ty masz?

Wrócił Jack Darling, niosąc talerz z żółtym serem.

— Jak twoje interesy, Jack? — spytał go wuj Casper. — Idą świetnie, co? Pewnie od nieustannego dzwonienia kasy nie słyszysz własnych myśli.

Jack usiadł i zauważył, że jego córka wygląda na zdenerwowaną.

— Rozejrzyj się, a sam zobaczysz — powiedział. — Kiedy skończyło się przepędzanie bydła, nastały ciężkie czasy. Wszyscy żyją z kredytów, łącznie ze mną.

Przed jedenastu laty, kiedy otworzył sklep, Oak City było tętniącym życiem miasteczkiem leżącym na końcu linii kolejowej, którą przewożono teksańskie longhorny. Każdy spęd bydła między majem a listopadem sprowadzał tu spragnionych, głodnych i doskonale opłacanych poganiaczy. Był to oczywiście zarobek sezonowy, ale wystarczył, aby Sklep Ogólny Jacka Darlinga i większość innych sklepów w Oak City dobrze prosperowała.

Nie trwało to jednak zbyt długo. Wkrótce napływowi farmerzy, tacy jak Jerrold Cullen, zaczęli się skarżyć na kleszcze, które trafiały tu razem z longhornami. Teksańskie bydło było odporne na przenoszone przez kleszcze choroby, ale dziesiątkowały one miejscowe stada, zarażając je wąglikiem.

W końcu władze Kansas zostały zmuszone do wyznaczenia linii kwarantanny, biegnącej z północy na południe i dzielącej stan na pół. Ustalono, że teksańskie bydło nie może być wpędzane do Kansas na wschód od tej linii, która będzie przesuwana wraz z przenoszeniem się farmerów coraz dalej na zachód.

Położone na końcach linii kolejowych miasta po kolei traciły źródła zarobku. „Dzicy i zuchwali synowie równin” przestali się osiedlać w takich miejscach jak Abilene, Ellsworth, Wichita i Ellis, jedna społeczność po drugiej kurczyła się i umierała. W końcu w nędzę popadło nawet Dodge City — najzamożniejsze z miast, w których kończyły się odnogi kolei.

Lucy pamiętała czasy, kiedy sklep Jacka Darlinga wypełniały luksusowe towary. Ostrygi w puszkach, jedwab, perfumy z Paryża, niklowane czterdziestki i piątki z okładzinami rękojeści z rzeźbionej kości słoniowej, a nawet pierścionki i spinki z brylantami. Pamiętała, jak niemal co tydzień ojciec dawał jej nową sukienkę, miękkie dziecięce buty, wstążki i czepki. Teraz musiał stawać na głowie, aby mieli wystarczający zapas mąki i bekonu.

Wuj Casper strząsnął popiół z papierosa i odciął sobie porządną porcję sera.

— Lucy chce zostać damą z towarzystwa — powiedział. — Wymaga to jednak mnóstwa pieniędzy. Jakim sposobem ubierzesz ją w futra, Jack? Jak przystroisz perłami i innymi klejnotami?

Jack Darling zrozumiał teraz, czemu Lucy wyglądała na zdenerwowaną. Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

— Każdy ma prawo mieć marzenia, Cass. Jest to nawet zapisane w konstytucji. Ja mam swoje, ty masz swoje.

— Pewnie — odparł Casper z pełnymi ustami. — Ale różnica między twoimi i moimi jest taka, że moje się spełnią. Kiedy zacznę eksploatować mój szyb naftowy, stanę się bogaty i cały będę błyszczał od brylantów. Lucy może marzyć o zostaniu damą z towarzystwa, jednak bez pieniędzy nie zrealizuje takiego marzenia, czeka ją tylko Oak City w stanie Kansas, małżeństwo z adwokatem prostakiem z poczuciem humoru jak wiadro farby do powozów, pięcioro rozwrzeszczanych bachorów i utrata urody jeszcze przed trzydziestką.

— Cass, jestem cierpliwym człowiekiem, a ty jesteś bratem Anny, niech Bóg ma w opiece jej biedną duszę, ale nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Wuj Casper pochylił się do przodu.

— Znasz mnie, Jack! Mówię, co myślę, i czasami ludzie się na mnie obrażają, nie zamierzam jednak nikomu szkodzić... zwłaszcza tobie i Lucy. Jeśli zachowałem się nieuprzejmie, no

cóż, przyjmij moje przeprosiny. — Znowu odwrócił się do siostrzenicy, ujął jej dłoń i mocno ścisnął. — Ale przecież sama doskonale wiesz, że mówię prawdę. Albo pieniądze, albo Oak City. A ta miejscina to nie miejsce dla dziewczyny, która wygląda jak ty.

Wsadził papierosa do ust, uśmiechnął się i nalał sobie kolejną porcję whisky. Lucy jeszcze nigdy nie widziała kogoś, kto by tyle pił i tak dobrze się trzymał. Jack Darling popatrzył na zegar.

— Lepiej zejść na dół. Samuel pewnie już wszystko rozdał.

Wuj Casper się zaśmiał.

— To dobrze o nim świadczy — stwierdził. — Lubię ludzi o szczodrym sercu.



Wieczorem, kiedy zamknięto sklep, Jack Darling i wuj Casper usiedli w salonie. Lucy dołączyła do nich, siadając przy stole z szydełkową robótką, ale ponieważ wuj chciał rozmawiać tylko o pieniądzach i o tym, jak je zarobić, przeprosiła ich i zostawiła samych.

Kiedy pozejmowała z łóżek narzuty i pozapalała lampy w sypialniach, z salonu przyszedł ojciec i ujął ją za rękę. Była już w stroju do spania — wysoko zapinanej pod szyją prostej koszuli nocnej z karczkiem ozdobionym żółtymi wstążkami.

— Dobranoc, skarbie — powiedział Jack.

Pocałowała go w kłujący policzek.

— Dobranoc, tato.

Jack Darling wahał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Sprawiał wrażenie dziwnie starego i zmęczonego.

— Wiesz przecież, skarbie, że gdybym mógł cię stąd zabrać...

Lucy ponownie go pocałowała.

— Czy mama była zadowolona, że mieszka w Oak City? — zapytała.

Zrobił zdziwioną minę.

— Na swój sposób tak. Ale twoja mama, no cóż... była moją żoną i miała obowiązek być zadowolona. Zawsze mnie wspierała, bez względu na to, co się działo.

— Więc nie musisz się martwić. Ja też zawsze będę cię wspierała.